

Krystyna Janda

To imię połączone z tym właśnie nazwiskiem brzmi jak bojowe hasło, jak wyzwanie. Wzbudza zachwyt i powoduje oburzenie, przyciąga jak magnes i odpycha. Krystyna Janda jest tą osobowością, która nikogo nie pozostawia obojętnym. I myślę, że gdyby ktoś na tę osobowość nie zareagował – używając jej własnej metafory – zwariowałaby ze zdenerwowania. Nie wiem, jak to się dzieje i gdzie szukać przyczyny, że takie właśnie aktorki nagle pojawiają się w naszym pejzażu nieudanych filmów, rachitycznej telewizji, nieporadnych spektakli teatralnych.

Od telewizyjnego debiutu w „Trzech siostrach” Antoniego Czechowa i filmowego w „Człowieku z marmuru”, staje się coraz mniej określona, a coraz bardziej fascynująca. Próbował uchwycić tajemnicę Grzegorz Skórski w swym znakomitym filmie poświęconym tej właśnie aktorce. Próbuje uczeni w piśmie opisać jej „pulsującą osobowość”, którą naznaczona jest każda rola, każde aktorskie działanie. A ona sąma coraz to inna, dojrzalsza, bogatsza. I bez względu, czy będzie to farsa jak „Edukacja Rity”, czy mroczny dramat „Z życia glist”, obecność Jandy na scenie elektryzuje. Z chwilą jej pojawienia się, z widownią dzieje się coś dziwnego. Następuje jakiś rodzaj zawłaszczenia i podporządkowania jej woli, intonacji głosu, niespodziance gestu. Z doskonałą umiejętnością potrafi władać emocją widowni, prowadzić przypadkowe skupisko ludzi ku jednoznacznym reakcjom, ku wspólnemu zaciekawieniu, podnieceniu, bia, egzaltacji. Jest rodzajem medium, przenoszącym napięcie w rejonny za fascynowania sobą, ale i wypowiedianym tekstem, treścią tego, co przekazuje, postacią, której losy opowiada i reakcje ujawnia. To zrozumiałe w teatrze, pośród stanów wręcz namacalnych, w bezpośrednim obcowaniu z widownią. Ale w filmie? W telewizji? Zaiste wielkie pokłady pasji zgromadzone są w aktorce, jeśli udaje się jej w tych, jakże „zimnych” środkach przekazu tak podwyższyć temperaturę.

Ona sama świadoma jest tej pasji i stale poszukuje innych możliwości – jak to się ładnie mówi – sprawdzenia siebie. Taką inną możliwością jest również śpiewanie piosenek. Myślę, że najbardziej intrygujące w tej przygodzie było pytanie: czy mając już ukształtowaną osobowość aktorską, można

środkami aktorskim tak wyrazić piosenkę, że będzie zupełnie inną wartością, niż gdyby wykonana została przez zawodowego piosenkarza. Nie są to bowiem różnice tylko w samej interpretacji, a więc w rozłożeniu akcentów, intonacji, śpiewności frazy. W aktorskim „braniu za gardło” piosenki, sensem staje się uczynienie z niej rodzaju etiudy, pewnego studium psychologicznego, kreacja postaci. Tekst, melodia to są elementy ważne, ale najważniejsze jest – kto śpiewa i jak potrafi wyśpiewać siebie. I choć aktorka w swoich wypowiedziach kokietuje nas, iż zaczęła śpiewać „przez głupią nieświadomość”, to śmiem twierdzić, że śpiewaniem zajęła się wtedy, gdy już miała sporą świadomość swoich możliwości. Doświadczenia wyniesione z kabaretowej przygody w „Egidzie”, kolejne z festiwalu w Opolu i wreszcie sukces już niekwestionowany w telewizyjnym programie „Dancing” z cyklu „Spotkania liryczne” upewniły widownię i aktorkę, że śpiewać może. I choć nadal twierdzi, że śpiewanie jest dla niej „ciasłkiem na deser”, to wszyscy wiemy, iż ów deser jest równie smakowity, jak danie podstawowe. Godząc się na bardzo nietrafną formułę swojej obecności w telewizji (czwartek, 8 stycznia, pr. I), zdawać by się mogło, że ryzykuje wiele. Choć tytuł był wielce obiecujący – „Śpiewający aktorzy” (zresztą plagiat inicjatywy krakowskiego Ośrodka TV), to zawartość już mniej atrakcyjna. Przypadkowo wybrane piosenki każdego innego pogrążyłyby z kretesem. Bo to przecież różna reżyseria jakże różnych piosenek, różne style interpretacji podporządkowane przede wszystkim koncepcji ról filmowych, odmienne aranżacje, diametralnie różne sposoby wykonania. Niejeden dobry aktor poniósłby klęskę. Wyszlaby bowiem na jaw choćby część tylko nieporadności interpretacyjnej. Kto zaśpiewa w sposób mistrzowski zarówno znany kanon jazzowy, jak i przejmujący liryzmem wiersz? Do owego czwartkowego wieczoru wiedziałem, że nikt. Od tej chwili wiem, że potrafi to Krystyna Janda. W każdej z piosenek, choć bezlitośnie wyrwanych z kompletnej i logicznej materii filmu, była wspaniała. Myślę, że ów „gorączkowy mistycyzm”, ten rodzaj nawiedzenia, który aktorka wnosi na plan, udtziela się zarówno reżyserowi, jak i oświetlaczom, operatorowi kamery, jak i „kłapserce”. Jest bowiem w tej aktorce jakiś rodzaj charyzmy, czy to będzie przepojona nostalgia piosenka „Na zakręcie” Przemysława Gintrowskiego z tekstem Agnieszki Osieckiej, czy znane liryki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, to każde z tych miniaturowych arcydzieł ma w sobie nośność działa Nawarrony. I dlatego „zwariuję ze zdenerwowania”, jeśli w możliwie krótkim czasie telewizja nie przygotuje powtórnego recitalu piosenkarzkiego Krystyny Jandy. Dopóki są jeszcze w telewizji reżyserzy, którzy wyobrażnią i kompetencją sprostają talentowi i pasji tej wielkiej aktorki.

ANDRZEJ LIPIŃSKI

ZE ZBIORÓW
Działu Dokumentacji ZG ZASP

